

Edukacja ekologiczna decydentów

Edukacją ekologiczną trzeba objąć nie tylko młodzież, lecz przede wszystkim dzisiejszych decydentów. Bo to dziś rządzące krajem roczniki ludzi starszych, nie kształconych w swej młodości w zakresie ochrony środowiska, występują najbardziej zawzięcie przeciw ekologizacji stylu życia i gospodarowania.

To decydenci narzucili polskim mediom dominujący po roku 1998 (gdy rządy przejęła prawica, patrz: Tomiałojć 2001, *Manifest ochrony przyrody*, „Chrońmy Przyrodę ojczystą”) w publicznym przekazie antyekologiczny ton, którego młodzi dziennikarze są tylko wykonawcami (bo inaczej stracą pracę). Nieprawdziwe zarzuty premierów i ministrów, rozpowszechniane przez posłuszne im publiczne i prywatne media, jakobyśmy w Polsce „mieli nadmiernie rozwiniętą ochronę przyrody”, albo jakoby „ekolodzy” (jak chrześcijanie wg oskarżeń Nerona) byli „wrogami ludzi i postępu”, hamującymi rozwój kraju, niszczą nawet najlepsze owoce edukacji ekologicznej wśród młodych. Nie jest więc przypadkiem, że wg sondażu Instytutu na rzecz Ekorozwoju o ile na początku transformacji poparcie dla idei ekologizmu wyrażało ok. 30% Polaków, to obecnie czyni tak zaledwie 11%!

W czasopiśmie „Oxford Today” (19.02.2006) zreferowano podejmowane tam dyskusje o potrzebie edukowania nie tylko ludzi młodych, ale przede wszystkim – ludzi dziś decydujących o warunkach życia nas wszystkich. Jest to zagadnienie, o którym często myślę od czasu pobytu w USA, gdzie taką edukację realizowano przynajmniej lokalnie już w roku 1989. U nas jednak bezskutecznie starałem się zainteresować tym krajowe media, narażając się nawet na pouczenie ze strony uczonego kolegi, uważającego, że już samą taką myślą **obrażam** nasze władze. Bo władza pochodzi od Boga, jak to głosili cesarze Chin, Rzymu i Rusi, stąd jest ona wszechwiedząca...

Widoczny postęp w zakresie edukacji ekologicznej został u nas osiągnięty jak dotąd tylko w kształceniu dzieci i młodzieży. Wielkim wysiłkiem nie tylko szkolnictwa wszelkich rodzajów, ale też dzięki współpracy Ministerstwa Środowiska, przedsiębiorstwa „Lasy Państwowe” i proekologicznych organizacji pozarządowych, świadomość ekologiczna stała się wśród młodych Polaków dość powszechną. Dopiero w ostatnim czasie zaczynam spotykać pogardliwe wypowiedzi także ludzi młodych pod adresem „nawiedzonych ekologów”. Ktoś im to zaszczeplił, bo wypowiadający się najwyraźniej nigdy osobiście nie spotkali żadnego „ekologa”, nie mówiąc o spotkaniu ekologa zawodowego, doktora lub profesora wyższej uczelni.

Nauczanie proekologiczne nie może się u nas przenosić na decyzje gospodarcze, ponieważ nie dzieci i nie młodzież decydują o kierunkach i metodach rozwoju kraju. W licznych sporach dotyczących kwestii ekologicznej naprzeciw siebie stają więc przedstawiciele dwóch generacji: młodzi idealisci, będący zwykle za ekologią, oraz starzy pragmatycy (lub cynicy), zwykle występujący przeciw niej. Jest to oczywiście uproszczenie. To jednak zwykle starsze roczniki usiłują kontynuować pochodzące sprzed pół wieku, socjalistyczne albo kapitalistyczne, marzenia o „centralistycznej industrializacji” oraz o „panowaniu nad przyrodą”. Dzieje się tak wbrew diametralnie odmiennym w swym duchu apelom wielkich wizjonerskich umysłów nowożytności i współczesności, od Johna Muira, UThanta, Carla Sagana i Jana Pawła II, przez Vaclava Havla, Anthony’ego Giddensa, Ala Gore’a, po Edwarda O. Wilsona, Dietera Birnbachera, Henryka Skolimowskiego, Grzegorza Kołodkę. Wszyscy oni wzywali/wzywają do rozważnego traktowania Ziemi jako wspólnego domu ludzi i milionów gatunków z nami spokrewnionych.

Dla decydentów rządzących innymi krajami, zarówno Niemcami, jak Wielką Brytanią, a dawniej i obecnie USA, było dość oczywiste, że warunkiem modernizacji winno być przekonanie społeczeństw do zmiany myślenia o zasadach gospodarowania i o jego skutkach społecznych. Pisz o tym m.in. Barack Obama w książce *Odwaga nadziei* (2008). U nas przekonywać trzeba jeszcze samych

najwyższych decydentów o tym, że starą koncepcję nieustającego wzrostu gospodarczego czas już zastąpić samoograniczającym się rozwojem zrównoważonym (*sustainable development*). O tym wie znaczna część elit kierujących Unią Europejską i jej poszczególnymi krajami, ale rzadko u nas. Nie wystarczyło zatem europejskiej i polskiej lewicy wpisać powyższą zasadę, jako główną wytyczną, do podstawowych dokumentów Unii Europejskiej i do Konstytucji RP (w czołowym art. 5). Trzeba jeszcze sprawić, by sami przywódcy poczęli myśleć według tej zasady, czyli trzeba doprowadzić do tzw. ekologizacji procesu planowania oraz do zwiększenia oszczędności we wszelkich procesach gospodarczych.

Żyjemy wszak na jednakowej wielkości przestrzeni, a nie na puchnącej o 2% rocznie Ziemi, do tego jeszcze na kurczącym się obszarze gleb nadających się do upraw i przy malejących zasobach wody słodkiej. Nie należy zatem się dalej łudzić, że można będzie bezkarnie realizować typową dla przestarzałej „gospodarki kowbojskiej” ideę nieskończonego Wzrostu Gospodarczego (jako przeciwieństwa samokontrolującego się Rozwoju Zrównoważonego, jedynie sensownego w sytuacji Ziemi podobnej do zamkniętego statku kosmicznego).

Panowanie antyekologicznych uprzedzeń oraz niedostatek aktualnej wiedzy o świecie wśród nie mających czasu na doksztalcanie się ludzi z rządzącego pokolenia, kosztuje nasze społeczeństwo coraz więcej. Uparcie ignoruje się spostrzeżenie jednego z prezydentów USA, iż „nic nie kosztuje tak drogo, jak uparte trwanie przy błędnych rozwiązaniach”. Na przykład w czasie, gdy cały świat, łącznie z obecnymi przywódcami USA (B. Obamą i imponująco mądrą i dzielną Nancy Pelouse) podejmuje rozwijanie energetyki opartej na źródłach odnawialnych, u nas wciąż dominują marzenia o wielkich elektrowniach węgla brunatnego (ekologicznie „najbrudniejszych”) lub jądrowych (niebezpiecznych i najkosztowniejszych). Kiedy inne społeczeństwa „sparzywszy się” finansowo na energetyce jądrowej, jak Niemcy (patrz „Forum” nr 35/2009), budują na wielką skalę ze środków centralnych oraz oddolnie, rozproszoną i zróżnicowaną energetykę lokalną i regionalną, opartą o źródła odnawialne, tę prawdziwie obywatelską, to u nas wciąż lansuje się wzorce z czasów centralizmu i dinozaurowego gigantyzmu.

O konieczności gruntownej zmiany w mentalności pisał już ćwierć wieku temu wybitny fizyk Fritjof Capra (*Punkt zwrotny - nauka, społeczeństwo, nowa kultura*, 1987). Optował on za potrzebą nowej systemowej myśli naukowej, a w jej ramach za ekologizacją praktyki w zakresie ekonomii, energetyki i medycyny. Za wprowadzaniem nowych idei do umysłów decydentów, m.in. dla podważenia szkodliwej wiary we wszechwładzę techniki i pieniądza, a przy niedocenianiu spraw społecznych i przyrodniczych. „Cóż po sztabach złota, jeśli stracimy nasz dom - Ziemię” - pytał Al Gore. Pojedyncze książki czy filmy proekologiczne, nawet najlepsze, nie zmienią u nas panujących przyzwyczajzeń. Zwłaszcza jeśli cynicznie pokazuje się je w (publicznej) telewizji wyłącznie po północy, tak aby prawie nikt ich nie oglądał! Dla przełamania dawnych schematów myślowych potrzeba nieustannej i naprawdę powszechnej edukacji, prowadzonej za pomocą środka przekazu mającego tak szeroki dostęp do domów i umysłów, jak telewizja publiczna. Niestety, ona akurat za nasze pieniądze powieliła tylko wzorce mordowania się, zdziczania i ogłupiania ludzi. Zamiast doksztalcania, w tym według najnowszych mądrych wzorców, amerykańskich, niemieckich i skandynawskich.

Aby Polska stała się krajem nowoczesnym, jak kraje skandynawskie, konieczna jest i u nas **zaplanowana i konsekwentna edukacja nie tylko dzieci, ale i decydentów**. Taka, jak realizowana w USA na uniwersytecie w Athens koło Atlanty, i to już w roku 1989. Już wówczas działał tam instytut doksztalcający w zakresie wiedzy ekologicznej administratorów i menedżerów. I nikt konieczności tego doksztalcania nie odbierał tam jako obraźliwej, bo przecież nikt nie kwestionuje potrzeby aktualizującej edukacji w czasach tak szybkiego postępu nauki, jak dzisiejszy.

Co więcej, organizowano tam nawet wycieczki nad Amazonkę dla grupy konserwatywnych

senatorów, by zrozumieli racje ekologiczne, stojące za potrzebą globalnej ochrony środowiska. Potem jeden z owych senatorów wyraził się z wielkim zrozumieniem dla potrzeby łożenia na ochronę lasów Amazonii, a o przewodniku wyprawy, dr. T. Lovejoy, wypowiedział się z najwyższym uznaniem i sympatią dla tego „nawiedzonego ekologa”, jak przedtem o nim zwykł myśleć. **Czy przedstawicielom naszego rządu, senatorom i posłom, podobna porcja wiedzy ekologicznej, uzyskana np. podczas specjalnej sesji dokształcającej w Białowieskim Parku Narodowym, miałyby zaszkodzić?** Nie sędzę. Mogli się amerykańscy decydenci „zniżyć”, do wysłuchania ekologów-uczonych, to mogliby też i polscy.

Trzeba więc koniecznie osłabić wynikającą z niewiedzy i zwykłych uprzedzeń nadmierną pewność siebie naszych decydentów. Musimy odrzucić panujące przeświadczenie, że dokształcanie się jest luksusem. Skoro nieustannie dokształcają się najznakomitsi z intelektualistów, myślicieli i mistrzów, to dlaczego miałyby być ono niepotrzebne politykom, administratorom i menedżerom? Żyjemy wszak w czasach wymagających od nas wszystkich ciągłego uzupełniania wiedzy w zakresie swojej profesji – przyjmowania nowej wiedzy fachowej, powstałej po okresie naszych lat studenckich. A jeszcze mniej wstydlive winno być dokształcanie się w zakresie zagadnień filozofii (tu: ekologicznej), aktualnego stanu Ziemi, nowych praktyk życia społecznego w warunkach przeludnienia, czy w warunkach zmiany klimatu. Na coraz gęściej zaludnionej Ziemi, w tym także w Polsce (mamy zagęszczenie ludności 4-5 razy wyższe niż w USA i Skandynawii oraz 2 razy wyższe niż w Hiszpanii, Francji czy Białorusi), gdzie problemy ekologiczno- ekonomiczno-społeczne stają się kluczowymi tak dla ludzi, jak i dla trwania różnorodnego życia w jego innych postaciach.

W dzisiejszej Polsce kształcenie ekologiczne nie tylko nie obejmuje, poza młodzieżą, szerokich grup społecznych, lecz przeciwnie – bywa coraz jawniej podważane. Nasila się agresywna propaganda antyekologiczna, widoczna np. w „Rzeczpospolitej” (która zwolniła z pracy swą fachowo piszącą o ekologii dziennikarkę, p. Krystynę Forowicz), we „Wprost” (już bez Eryka Mistewicza) lub na bardzo agresywnej stronie Wirtualnego Nowego Przemysłu (wnp.pl). W ramach manipulacji mediów i w Internecie wmawia się społeczeństwu kłamstwo, jakoby „ekologami” byli tylko niewykształceni ludzie przywiązujący się do drzew. Nikt nie wspomina bowiem, ani nie zaprasza do publicznych wypowiedzi, doktorów, doktorów habilitowanych i profesorów, wykształconych i kształcących w zakresie ekologii. Podejrzewam, że **celowo**.

W rezultacie tej manipulacji narasta otwarta wrogość wobec ekologii i „ekologów”. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie spotkali żadnego prawdziwego ekologa, wypowiadają się o nich z krańcową nietolerancją. Tak wrogiego nastawienia nie mogli wywołać sami ekologowie-naukowcy, bo ich do mediów się nie dopuszcza. Ta nietolerancja jest zatem wytworem podjudzających do wzajemnych walk samych mediów, chcących wszelkie wydarzenie zamienić w ordynarne kłótnie. **Rezygnując z prawdy i z elementarnej rzetelności przekazu**, o czym z troską wypowiadał się J. Żakowski. A to wszystko mamy zamiast oczekiwanego od mediów publicznych rozwijania u słuchaczy nowoczesnego myślenia obywatelskiego, niezbędnego dla zgodnego trwania następnych pokoleń i dla przetrwania obok nas także fragmentów i procesów niezaburzonej przyrody. Jej fragmentów nie tylko pięknych, ale i mogących być wzorcami dla przyszłego, bardziej oszczędnego gospodarowania zasobami.

Ludwik Tomiałoć

Ludwik Tomiałoć, prof. dr hab., biolog, wykładowca ochrony przyrody i rozwoju zrównoważonego na Uniw. Wrocławskim. Członek Rady Krajowej partii Zieloni 2004.